

MIŁODY POLAK

REDAGOWANY PRZEZ MŁODZIEŻ SZKÓŁ OPOLSKICH



BEZPŁATNY DODATEK DLA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ „NOWIN OPOLSKICH“

CZESŁAW KUREK.

Nasze zadanie

Każde kresy czynne, gdzie musi istnieć świadomość zagrożenia, posiadają wielką wartość w rozwoju kultury narodowej. Elementy gospodarcze czują się lepiej w centrum, za zasłoną. Treści społeczne również nabrzmiewają w centrum, na kresach są zazwyczaj zamazane na korzyść treści ogólnonarodowych. Na kresach czuwa, musi czuć, na kresach krzepnie, musi krzepnąć — narodowy duch.

Na ziemi opolskiej te problemy muszą jeszcze zyskiwać niesłuchanie na wadze: tu swoją przewagą ducha, kultury, musimy zetrzeć wielowiekową świadomość obcą penetrację kulturalną. Kiedy wszystko, co „przedwojenne” jest dla wojną zmęczonych w złotej ramce, kiedy przyszliśmy na tę ziemię zniszczoną tylko jednorazowym przelotem frontu jako pogorzelcy sześciolatniej walki na naszej ziemi, kiedy przyszliśmy na tę ziemię w ryku niszczenia tej ziemi przez front z wojenną złością własnej duszy co nam rysów nie uszlachetniała, kiedy przyszliśmy na tę ziemię by ją scalić w jedno jako naród o niższej stopie życiowej. Zestawienie proste, że chłop opolski prawie wyłączny mieszkaniowiec Polak tej ziemi, dostawał przed wojną dwukrotnie więcej za każdy swój produkt, płacąc za artykuły przemysłowe mniej niż np. chłop krakowski, każe poważnie myśleć u progu naszych wielkich poczyną. I to tym więcej, że właśnie kultura niemiecka w ostatnim etapie swego rozwoju wybitnie zmaterializowała umysłnie obywateli Rzeszy, że przecież za chleb odebrała człowiekowi wolność. Zmaterializowanie to zostało Opolanom, czy chcieli czy nie chcieli, bezpośrednio czy pośrednio narzucone. Nie wszystkim. Była spora garść takich, co w stodołach pod groźbą obozów koncentracyjnych montowali jedną czy drugą placówkę polską w imię ideału wolności, ukochania sprawy. Tak, jest do kogo nawiązać, bo to kresy naszego narodu, ale trzeba zdać sobie sprawę, że dusze spustoszone polityką poniżającą na jaką tylko żywioł niemiecki zdobyć się może, są o wielekroć liczniejsze.

Z OPLATKIEM

Oplatek jest biały jak młode dusze.

Będziemy go łamać, dzielić, rozdawać, szczodrzyć się nim jak młodymi siłami, planami, dążeniami, sukcesami.

Będziemy przy nim tak życzyć dobra, piękna, wielkości, jak tego spragnione, jak tym przejęte są młode dusze.

Będziemy życzyć z wiarą, jak wiarą przepełnione są młode serca.

Będziemy przy tym naiwni, prości, jak proste są młodych myśli.

Będziemy życzyć z serca, będziemy życzyć sercem, jak sercem żyje, jak sercem czuje, jak sercem działa młodzież.

Będziemy życzyć na życie inne, nowe, jak młodzież, co tworzy od nowa.

Będziemy przy tym wszyscy równi, mali — młodzi.

Bo wokół, bo w nas narodzi się maleńki Jezusek.

To wszystko trzeba odrobić, to wszystko trzeba nadrobić.

Jak?

Kulturalnie, głęboko kulturalnie — chodzi przecież o kulturę. Świadomie z przemyśleniem z głęboko ujętym planem.

Kto je rozpocznie, kto poprowadzi?

Na to trzeba odpowiedzieć śmiało i twardo. My, polska szkoła ziem wyzwolonych.

My, niejednokrotnie w lichy gałgan powojenny ubrani, bez książek, zasadniczego rynsztunku naszej pracy, spotykając się co krok z piękną książką niemiecką, mimo tylu zniszczeń jeszcze wielkiej ilości będącą, my wchodząc do wyszabrowanych a mimo to jeszcze bogato urządzonych szkół niemieckich, czujemy to wszystko, na co na początku artykułu zwrócono uwagę, ale też my możemy i to śmiało powiedzieć, że za imponowaliśmy naszym kolegom Opolanom, co do niemieckich gimnazjów chodzili, naszym programem szkolnym, mimo, że realizacja jego odbywa się tak przerzedzonym przez wroga personelem nauczycielskim. Nie ćwiczenia gimnastyczne są u nas przedmiotem zasadniczym, nie utylitarny skrót matematyczny, a analiza, własne dorabianie się pojęcia jest ważne. Otwierają się Opolanom oczy, kiedy w nauce historii mó-

wimy o walkach, o wolność narodową Greków, spoteczną w Rzymie.

Gimnazjum niemieckie zaczynało historię od mitów starogermańskich, pełnych krwi i nienawiści. Warto wspomnieć, że w podręcznikach języka ojczystego nawet w żeńskich zakładach niemieckich na co drugiej stronie był rysunek karabina, miecza, hełmu, granatu, treść lektury była również podobna. Tolerancyjność, może „przeromantyzowanie” naszej kultury działa tu nieuchronnie. Bo młodzież czuje nie tylko siłę swej krzepy, ale pierś przepełnioną ma dążeniem do sprawiedliwości, choćby w romantycznym wybuchu realizowaną.

To też pamiętając o tym musimy na treści humanistycznej naszej nauki zwrócić baczną uwagę: musimy podkreślić szczególnie znaczenie szkół ogólnokształcących na opolskiej ziemi. Nasze uzdolnienie, nasza ruchliwość kulturalna muszą zdać egzamin w tak ciężkiej walce o przewagę. Ale równocześnie poszerzyć musimy udział Opolan w naszych szeregach szkolnych. I to znów musimy zrobić sami. Musimy się związać — terenem, musimy teren związać z nami.

My musimy odbudować na ziemi opolskiej uczucie. Wieś opolska umie rozsądnie kalkulować, umie nieprzejednanie trzymać się własnej piędy ziemi,

ale nie umie w dobrym szaleć. Tak, ona nie zna, co chłopska, polska bieda, ale też nie zna co chłopskie darcie się wprzód, chłopskie szalenie dla ideałów. Nie znane są tu fakty, by chłop sprzedał ostatnią krowę, gospodarkę zmitrężył, sam się zamorzył, gruźlicą uśmiercił, aby tylko wyuczyć dziecko, syna pchnąć do szkół, w świat. I dobrze, że tego Opolanin nie robił, bo trzymał się ziemi, a dzieci mało Niemczył, ale ta chłodna, narodowo rozsądna kalkulacja dawna, podtrzymana materialistyczną ideologią hitlerowską, przeszkadza nam w scaleniu narodowym. Ale któż tak potrafi do uczuć przemówić, jak młodzież. Kto potrafi śpiewać tak, jak my, od serca, na swojską nutę? Melodią swojską odkołyszymy polskie uczucia. Młodzieży Opolskiej musimy przekazać furorę polskiego uczucia w tańcu. To też nam nie trudno zrobić „Kiedy w bęben wybijają same nogi prawie drgają” — mówił już o nas Kochanowski, a więc z oberkiem, z krakowiakiem, mazurem, kujawiakiem nam iść. Tylko, że z tym musimy pójść w wieś opolską, pomiędzy sadyby, w których i dla nas tyle ciekawych treści narodowych w języku, w folklorze przechowało się. Musimy się wzajemnie z terenem związać, aby zespolić się uczuciem polskim. I wreszcie dział treści naszej pracy: my musimy wytworzyć w szkołach polski typ życia gromadnego. Wiemy, jak w to trudno wpleść się jest Opolanom, Opolankom. Wychowani w faszystowskim słuchaniu rozkazów nie umieją znaleźć w naszych wspólnotach klasowych, w naszych kółkach organizacyjnych.

A z drugiej strony te formy budzą w nich tęsknoty ludzkie i — polskie. Tak, my tu jesteśmy inni i wyżsi. Wiemy, jak ustrój hitlerowski likwidował i rugował spółdzielczość, wiemy, jak z drugiej strony nią właśnie bronił się Polak. Ale w naszych spółdzielniach szkolnych jest tyle do zrobienia i tak w nich mało Opolan! Tu zakasać trzeba rękawy z miejsca, tu porozumiemy się najłatwiej.

Obok spółdzielni każde poczynienie gromadne otoczyć musimy opieką. One pomogom wszystkim. I naniesionym różnymi wiatrami i miejscowym, aby się zespolić, stopić i na ziemi tej wzmoć — polskość. Nie zapominajmy tu o najbliższej Wspólnocie — klasie.

WIGILIA

Sypie śnieg. Białe płatki padają na stoki gór, przykrywając je białą pieczywą. Nadchodzi zmrok, a z nim wieczór wigilijny. Tak jak co roku przyjdzie na świat Zbawiciel, przynosząc „pokój ludziom dobrej woli”... Nigdy tak dobrze nie zrozumieliśmy tych słów jak w czasie wojny. O pokój modlono się wszędzie. Pragnęła go nie tylko Polska, ale wszystkie Narody Europy, będące pod krwawym jarzmem hitlerowskim.

Rok 1944. Już piątą wigilię obchodziliśmy w niewoli. Jedni przywitani Odkupiciela w domach swoich, drudzy w lagrach i obozach inni na obczyźnie, a mała garstka Polaków przywitała Go w lesie. Wśród wichru, mrozu i śniegu przyszedł do nich Chrystus. Nie było u nich choinki, nie było sianka pod obrusem... Skuleni partyzanci siedzieli naokoło ogniska w głuchej partii w lesie Beskidu Wysokiego. Nie wesoło im było. Z nimi grupka ciekawych siedziała, gdyż każdy chciał zobaczyć, co han partyzancio robiom w ten święty wieczór.

Wśród ciekawych znalazłam się i ja. Przez zasypane brnąłam do nich, do swoich. — Jak wyglądają, może tam ktoś ze znajomych kolegów? — myślałam idąc. A to co zobaczyłam było tak smutne. Ten wspomniat żonę, inny dzieci... Kilkaset młodych chłopców grzało się koło ognisk, czekając na księdza kapłana, który miał zacząć wieczór. Ubrani byli w to, co kto miał lub zdobył. Mundury polskie, angielskie, niemieckie, cywilne ubrania itp. Twarze ich smutne były. Każdy jednak nadrabiał miłą, by nie widział jego smutku kolega. A trudno to było, gdy ojciec w obozie, matka sama nie wiedząc nic o synie... Ten wspomniat żonę inny dzieci...



Gwiazda wigilijna ukazała się na niebie. Wyszedł ksiądz kapłan z opłatkiem. Jakaś kobiecina przyniosła go ze wsi, inna pieczywo. Resztę zdobyli partyzanci własnym pomysłem. Ksiądz miał krótką przemowę do tych tułaczy na swojej ziemi. Ten i ów pociągnął nosem. Kobiety zaczęły szlochać. Tylko ci leśni chłopcy stali skupieni, ważąc w myśli słowa księdza: Waleczycie o wolność Narodu, waleczymy po to, by nie było już więcej Majdanków, Oświęcimia i płonącej Warszawy, by dzieci polskie miały szkołę, by Polacy żyli wolni na swojej ziemi, by nie kalał Ziemi Polskiej but hitlerowski...

Skończył. Zaczęto dzielić się opłatkiem. Kilku zanuciło koledy i hen po górach rozległ się silny śpiew:

Podnieś rękę Boże Dziecię, błogosław krainę miłą...

Zaczęli śpiewać koledy jedną za drugą. Roześmiały się trochę twarze junaków. Lecz nie długo trwał miły nastrój. Bo oto ktoś przybiegł z nowiną: Niemcy są tuż, tuż w lesie. Niemców nie obchodziło to, że wigilia, że święto. Dla nich ono nie istniało. Ludzie na tą wiadomość rozbiegli się. Partyzanci porwali za broń. Może nawet w ten święty wieczór trzeba będzie waleczyć?

I ja zaczęłam powoli iść spowrotem. Myślałam o tym, co widziałam. Rażno zrobiło mi się gdy pomyślałam, że takich obrońców ma Polska dużo, że na przyszłą gwiazdkę może oni wszyscy będą w swoich domach i nie będą potrzebować bać się niemieckich mundurów.

A w uszach dzwonił mi śpiew:

Podnieś rękę Boże Dziecię.

U. Wiśniewska

II P. Gim Żeńsk. w Opolu.

GWIAZDKA OPOLANKI

Gwiazdka! Jakżeż cieszyliśmy się ja i moje dwie siostry rok rocznie nią, bo spędzałyśmy ją w najszcześniejszym gronie rodzinnym. Aż nadszedł wrzesień 1939. Zaraz w pierwszych dniach po wybuchu wojny aresztowano nam naszego kochanego ojca, i osadzono w obozie koncentracyjnym w Buchenwald razem z wielu innymi Polakami ze Śląska Opolskiego. Nadeszła pierwsza smutna w naszym życiu wigilia Bożego Narodzenia i rok rocznie przez następnych 5 lat nie zmieniała swego posępnego smutnego nastroju. Była wprawdzie choinka i podarki, lecz zabrakło między nami tatusia. Najwięcej radości świątecznej sprawiały nam przeto jego ukochane listy z życzeniami świątecznymi, mówiące nam o jego niezmiernej tęsknocie za nami. Zamiast wesołych kołęd, płynęły przeważnie łzy matki. Nareszcie modły nasze zostały wysłuchane i w roku 1944 wrócono ojcu utęsknioną wolność, a nam po tylu latach przynajmniej kilka słonecznych i szczęśliwych dni, w parę dni bowiem po zwolnieniu już został żołnierzem. Szczęśliwy los jednak zrzucił, że jako żołnierz dostał właśnie w okresie świąt Bożego Narodzenia urlop. Była też to najwspanialsza gwiazdka, która utkwiła w naszych umysłach niezatartym miłym wspomieniem. Od ojca nie odstępowałyśmy, a zwłaszcza najmłodsza siostra,

która liczyła dopiero 3 lata, gdy się z tatusem przed 5 laty zegnała. Do stołu wigilijnego zasiadaliśmy z promieniejącymi twarzami, choć podarków pod dużą, jaśniejącą choinką prawie

i przeżył z minionych lat. Niezapomnieliśmy w swojej radości i w dzień wigilii o rodzinie polskiej, znajdującej się na przymusowych robotach w Opolu, i którą myśmy się opiekowali. Była



Gdy śnieg przyprószył stary Zamek Piastowski.

wcale nie było, lecz piękniejszego nad ojca nie mogło być. Z wdzięcznością płynęły z rozradowanych serc polskie kołеды choć z obawy przed szpiegami dosyć cicho. Do nocy siedzieliśmy pod choinką i opowiadaliśmy wspomnienia

to niestety nasza ostatnia, radosna wigilia, gdyż w 10 dni później wyjechał ojciec na front, z którego jeszcze nie wrócił.

Kowalska Wanda

II Państw. Gimn. Żeńskie w Opolu

Moja wigilia w Berlinie w 45 roku

Za oknami naszego baraku padał dużymi płatami śnieg. Białe było nokoło i zimno. Okiennice stuknęły z łoskotem o liche, słabe ściany baraku. Hulał wiatr w złośliwej zawziętości zmieniając co chwilę przez siebie porzucony śnieg. Nie obchodziło go nie, że wewnątrz nędznego baraku skulone postacie ludzkie marzły z zimna. A przecież dziś wigilia, dzień radości z przyjścia Dzieciątka Bożego.

W taki dzień pierwszy raz byłam bez mamusi, bez rodziny. Tylko starsza siostra, marzła obok mnie. Kochana, dobra siostra opiekunka mnie małego szkraba, którego za to, że żył w Warszawie, kiedy wybuchło powstanie, posłał Hitler do ciężkich robót w dwudziestym roku życia.

Wiatr dalej hulał i dał za oknami. Naprawdę dawną tradycją czekano pierwszej gwiazdki, nie zobaczyłam jej dzisiaj. Naprawdę w swej małej głowie chciałam choć marzyć, choć w marze-

niach wyobrazić sobie zeszłoroczną chwilę, że oto jestem w ciepłym domku z rodziną i dzielimy się śnieżno-białym opłatkiem przy ładnej choince. Naprawdę. Zbyt mroźnie w baraku. Jeno łzy, co chwilę ciepłe łzy spadały z oczu.

Dziś, w tym świętym dniu, wróciłam z pracy po południu, jak codzień: musiałam pracować przy częściach samochodowych. Jak codzień musiałam tym częściom złorzeczyć, owijać je najgorszymi życzeniami, aby co prędzej skrewili na nich Niemcy kark. Jak codzień czułam się bezsilna, nie niewartą pra-

cownicą przy rysztunku, który służył zabijaniu ludzi, narodów, przy której to pracy myśli moje, uczucia moje znały tyle, co nic. Nawet nikt z nadzoru w oczy mi nie popatrzył, by choć na chwilę odczuć moją nienawiść, w dzień wigilijny.

Jeno kiedy wracałam z pracy, widziałam przez okna rozświecone choinki rodzin niemieckich, spasionych, sytych, gdy ja wlokłam się głodna. Widziałam, jak podawano do stołu, widziałam uśmiechy zadowolenia, pewności. Widziałam jak raczyli się, pili. Nie mieli jednak opłatka, nie mieli Jezuska.

Zanuciliśmy z siostrą kołędę. Podjął ją stłumionym głosem prawie cały barak. Skulone, okutane postacie półżwywe zaczęły:

„Wśród nocnej ciszy —“

Za oknami hulał wiatr, stukał okiennicami i ziębił, ziębił liche ściany.

Biniszewska Irena

II P. Gimn. Żeńskie w Opolu



Rzemiennym dyszlem po powiecie opolskim

Przed końcem ubiegłego roku szkolnego zrobiliśmy mocne postanowienie (broń Boże nie poprawy), ale postanowienie, że kilka dni musimy poświęcić na wycieczkę w okolice Opola. Po długich i wrzaskliwych naradach, odbywanych w obecności p. profesora, obraliśmy za pierwszy punkt etapu Chrościce.

Tak więc pewnego niedzielnego popołudnia pociąg unosił nas daleko od Opola, a co najważniejsze i od poniedziałkowych lekcji. Na stacji „Wici” witła nas jak miłych i oczekiwanych gości. Szybko rozgościłymi się na nowym miejscu i poszliśmy w „teren”. Jedne (w zależności od upodobania) poszły na zabawę, gdzie przodowały w tańcach ludowych, innym milsza była kąpiel w ciepłych falach Odry. Niemniej jednak wszystkie byłyśmy zadowolone. Wieś śląska przywitała nas z radością. Pobłaźliwie słuchała krzyków zadowolonej z opuszczenia murów miasta gromady, z ciekawością — śpiewu. Dla tego też ze śpiewem ruszyliśmy nazajutrz w dalszą drogę szosą — przed siebie.

Zatrzymywałyśmy się niekiedy, aby na wiejskich cmentarzach odczytywać z grobów polskie napisy, złożyć tam wiązkę polnych kwiatów i chabrów. We wsi Stare Siołkowie odwiedziliśmy p. Jakuba Kanię, zasłużonego działacza śląskiego. Miły, gościnny staruszek przyjął nas i ugościł w czystej, białej chacie. Długim wierszem w gwarze śląskiej opowiedział o panowaniu Niemców, a potem oprowadził nas po całym obejściu gospodarskim. W sadzie, gdzie brzęczały nad głowami roje pszczoł, zrobiliśmy „na wieczną pamiątkę” kilka zdjęć. Ze wzruszeniem i uszanowaniem patrzyłyśmy na naszego gościnnego gospodarza jak bohatera, który tyle lat walczył z zaborcą o polskość Śląska. Na pożegnanie zaśpiewałyśmy kilka piosenek i za radą p. Kani pomaszerowałyśmy do Pokoju. Gdzie było to miasteczko i jak daleko, o tym wiedziała tylko jedna z naszych koleżanek Opolanka. Reszta szła naprzód tylko

z wiarą w swoje, chociaż bose nogi i z radością w sercu. Pogoda i humory były świetne, droga przez las przesłizna! P. Profesor ciągle napominał: patrzcie na piękno lasu, uważajcie na grę zieleni, bo być może z tej wycieczki klasówka — (przy tych słowach zdawało nam się, że słońce na niebie gasnie). A my wchłaniałyśmy w siebie miłe wrażenia i — dużo czarnych jagód, wdychałyśmy pełną piersią czyste powietrze.

Jagody często zatrzymywały nas po drodze, tak, że minęło dawno południe, a my jeszcze nie wyszłyśmy z lasu. Dopiero przed wieczorem, w godzinę, po dobrej kąpieli i odpoczynku, dotarliśmy do szosy i wyglądanego Pokoju. Nie wiedziałyśmy jednak czy w tym Pokoju znajdziemy stodołę (o pokoju nikt nie myślał), gdzieby można się prześpać. W największe zakłopotanie wprowadził nas plac na środku którego w ogrodzie wznosiły się ruiny pałacyku a wokół zbierało się siedem ulic. W którą pójść? Szczęściem los zesłał nam opiekunkę. Dobra, energiczna pani kierowniczka tamtejszej szkoły okazała nam wielkie zainteresowanie. Za jej pomocą dostaliśmy nocleg u bardzo zacnego gospodarza, który stracił na wojnie czterech synów. Ona to zachęciła nas do tego, że pomimo zmęczenia poszłyśmy obejrzeć stary śliczny park. Jej wesołość i rozmowność przywróciła nam przez zmęczenie utracony humor. W tej optymistycznie patrzącej na życie kobiecie trudno było poznać, że kilkanaście miesięcy przebyła w Oświęcimiu, a dowiedziawszy się trzeba było podziwiać hart ducha.

Już zupełnie zapominając o zmęczeniu urządziłyśmy wyścigi dookoła zarosniętego rzęsą stawu, pośrodku z tajemniczą basztą na wyspie. W zapadającym mroku szliśmy między gąszczami kwitnących krzewów, przesadzałyśmy susami pnie zwalonych drzew, to znów przez mokry od rosy trawnik bieglyśmy do wielkiego posagu lwa, aby usiąść na

grzbiecie. Oglądaliśmy jeszcze jeden zaniedbany zameczek i strzelnicę myśliwską. Zbyt późna pora, brak porządnej łodzi wstrzymały nas od przejażdżki po dużym stawie z licznymi zalesionymi wysepkami. Trzeba już było wrócić na kilkugodzinny wypoczynek do stodoły, gdzie kłująca słoma zastępowała poduszki i pierzyny. Ale po takim całodziennym spacerze żadna z nas nie skarżyła się na niewygody. Pod strażą czujnych koleżanek — harcerek spałyśmy spokojnie. Niestety jeszcze przed świtem trzeba było wstać, żeby zdążyć do pociągu. Na dworze padał drobny deszczyk, który zmienił się wkrótce w ulewę. Szliśmy jak gęsi — gęsiego. Powijane w ręczniki głowy kiwały się sennie i miarowo w takt chlupania błota. Deszcz lał bez ustanku, a schronić się nie było gdzie i nie było można. Mimo wszystkich ręczników, peleryn, koców, po dwugodzinnym marszu przemokłyśmy do nitki.

¹W wioskach ludzie ze zdziwieniem patrzyli na ociekające wodą postacie, które chcąc ukryć szcęknięcie zębów, śpiewały na złość niepokodzie. Ale dopiero w pociągu zaczęła się właściwa tragedia. Isć w ociekającym wodą ubraniu to jeszcze fraszka. Ale stać, albo co gorsza siedzieć w zimnym wagonie! Brrr...

W Opolu rozbiegłyśmy się momentalnie grupkami, każda w swoją stronę, budząc niemałą sensację na ulicach.

O szkole i lekcjach tego dnia nie mogło być mowy.

Nazajutrz z zadowoleniem stwierdziłyśmy, że tylko jedna koleżanka przypłaciła tę wycieczkę bólem zębów, a wszystkie były zadowolone. Wiele z nas dopiero przez tę dwudniową wycieczkę w teren Opola uwierzyło we własne siły i wytrzymałość. Była ona zachętą do dalszego poznawania poszczególnych dzielnic naszego kraju.

Krystyna Niziołna

Klasa I lic.